Nr. 7. We Lwowie, listopad 1921. Rok XLII.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W listopadzie wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA" znajduje się przy ul. **Mickiewicza l. 6.** Godziny urzędowe dla stron od 10—12. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca". Rękopisów Redakcja nie zwraca.

INŻ. STANISŁAW KUBIŃSKI.

Fizyka strzelca.

(Ciąg dalszy)

Pocisk opuszcza lufę z prędkością, której wielkość zależy od ciśnienia gazów i długości lufy — To ciśnienie gazów jest znowu ściśle zależne od rodzaju prochu a każdy gatunek prochu posiada swoiste cechy występujące podczas spalania się. — Wszystkie mają to wspólne, że wytwórnie ich podkreślają ich własności dodatnie, przemilczając dyskretnie ich wady, które dopiero nabywca po dłuższem używaniu na swojej broni odkrywa.

Istnieją za granicą stacje doświadczalne, których zadaniem jest badanie własności prochu. Doświadczenia te jednak są okryte nimbem tajemniczości, choćby dla tego powodu, że badania wykonywane na jednym i tymsamym gatunku prochu i jednym i tymsamym aparatem wykazują znaczne różnice. Publikowanie takich wyników może słusznie wzbudzić podejrzenia, że albo aparaty są nieczułe, albo metoda stosowania jest błędną. Bliższe rozpatrzenie metody badań i aparatów do tego używanych utwierdza nas w przekonaniu, że tak pierwsza jak i drugie są dalekimi od przeciętnej nawet wartości.

Aby ten zarzut uregulować, pozwolę sobie opisać aparat do badania ciśnienia gazów i metodę tego badania.

Aparat składa się z silnej grubościennej rury stalowej o wierceniu odpowiadającem badanej amunicyi. W ścianach tej rury są wywiercone otworki, sięgające do wnętrza rury. W tych otworkach znajdują się dokładnie wszlifowane tłoczki, które pod ciśnieniem gazów wewnątrz lufy mogą się przesuwać w tych wywierconych otworach. Tłoczki te opieramy o małe walce miedziane, wykonane o ile możności najstaranniej i z jednolitego materjału. Walce te są przytrzymane i ustalone zapomocą odpowiednich śrub tak, że w chwili wystrzału, zatem w chwili powstania ciśnienia, pod jego działaniem za pośrednictwem tłoczków zostają zgniatane. Wielkość tego zgniecenia mierzona mikrometrem ma dać obraz wielkości ciśnienia w tem miejscu lufy, gdzie wywiercono otwór na tłoczek.

Dwa są kardynalne błędy tej metody, jak zaznaczyłem, stosowanej prawie powszechnie i ustalonej na zjeździe niemieckich badaczy, jako normalnej.

Po pierwsze, stosowanie miedzianych walców nie daje absolutnie żadnej gwarancji, że pomiar będzie prawdziwy, ponieważ nieznaczna tylko różnica twardości i struktury metalograficznej tych walców muszą spowodować błędne wyniki.

Po drugie, zgniecenie walca miedzianego nie jest wynikiem wyłącznie maksymalnego ciśnienia, lecz jest wynikiem sumarycznych wszystkich ciśnień, jakie od chwili rozpoczącia działania ciśnienia gazów na tłoczek do jego ukończenia w momencie opuszczenia lufy przez pocisk na walec miedziany działają. Odkształcenie walca miedzianego będzie zatem obrazem pracy ciśnienia przez cały czas działania gazów na tłoczek a nie obrazem ciśnienia gazu w lufie.

Jest rzeczą wprost niepojętą, w jaki sposób metoda ta, zasadniczo błędna, potrafiła zyskać prawo obywatelstwa u narodu tak ścisłego, jak Niemcy, tembardziej, że istnieje zupełna prosta, teoretycznie ścisła, a w praktyce łatwa do przeprowadzenia metoda, o ile wiadomości moje sięgają, niestosowana dotychczas nigdzie, metoda, do której doszedł podczas dyskusji na ten temat profesor uniwersytetu lwowskiego p. Dr. Roman Negrusz i autor niniejszego artykułu, a którą będę się starał przedstawić w następnym zeszycie Łowca. (C. d. n.)



W. G. S.

Z pod Grofy.

Nie mając w tym roku nigdzie widoków na rykowisko, chciałem pojechać do Lisowic w nadziei, że ta nasza, zawsze niespodzianek pełna, ukochana zalotnica, łaskawą dla mnie będzie, a uchyliwszy rąbek swej zielonej sukienki, pozwoli mi napawać się cudami wdzięków swej natury, że jeżeli nie laurowym wieńcem, to chociażby jedliny złomkiem nagrodzi mi chwil kilka w jej świątyni spędzonych i wdzięczną okaże się za to, gdy zdołam umiejętnie a przebiegle zwalczyć jednego z jej rogatych, natrętnych oblubieńców.

Jednem słowem, chciałem uciec od tak zwanych spokojnych, łagodnych, ucywilizowanych ludzi, a szczęśliwie spędzić uroczych chwil parę wśród poczciwych, dzikich zwierząt i odpocząć w uroku natury.

Snułem już w myśli dziwa, jak to na arenie naszej kochanki, wśród zrębu kulis, młodzież baletowa czeka tylko chwili, gdy tubalny głos króla gór, który skoczywszy pierwszy, zezwoli i innym zatańczyć wśród zieleni, a ja jednym oklaskiem z widowni, na wieki przerywam harce, odpędzam miłość i pewną kulą godzę w najpotężniejszego z aktorów.

Przed przedstawieniem bywa jednak i prolog.

Wszystko przygotowane! Kurtyna ma się podnosić i jako ów prolog, poczta przynosi list majordomusa naszej kochanki, w którym tenże donosi, iż dotąd, oprócz bydła w Lisowicach, a raczej wTaniawie,nic nie ryczy, ale z chwilą, gdyby się co okazało, natychmiast doniesie. Taki prolog mi się nie podobał.



Lecz tu nadchodzi nowy liścik od naszej kochanki z za kulis, pisze, p. radca, zarządca lasów i dóbr państwowych, że aczkolwiek najchętniej by mnie u siebie gościł i widział wspaniały wieniec przezemnie zdobyty, lecz jako przyjaciel-myśliwy nie tylko namawiać nie śmie, ale wręcz odradza przyjazdu, bo z jeleniego rodu tamże nic nie ma. Czyż ja już taki stary, że nasza ukochana zalotnica nie chce uchylić rąbka swej liściastej sukienki, ba, nie tylko to, ale tak jest niełaskawą, że nawet nie robi mi żadnych nadziei. Trudno!

Porzucam myśl o konkurach.

Wtem pierzchły wszystkie płoche, miejskiego otoczenia myśli, bo najłaskawszy przyjaciel raczy mnie królewskiemi godami, zapraszając na rykowisko do swego, pod Grofą, rewiru.

Nerwowe momenty ostatnich przygotowań, już nie myślę o podszyciu zielonej spódniczki i różowej alkowie, tylko śnię o kolibie ciasnej, samotnej, dymnej czasem, a takiej tchnącej myśliwskim urokiem i łowiecką nadzieją.

Znanym traktem, wpierw pośpiesznym, potem powolnym, dalej tresyną motorową, wreszcie konno, trochę na własnych nogach, trochę na czworakach, docieram do naszej koliby.

Tu widok cudny pieści moje, od białych murów miejskich błędnie przemęczone oko i to widok nie tylko tych naszych cudnych, południową granicę tworzących gór, ale gospodarza widok, gotującego w kotle rogi, dziś na moje przyjęcie zabitego dwunastaka, o potężnem, wysokiem, rozłożystem porożu.

Chwile serdecznego przywitania, okazujące radość i wdzięczność z zaproszenia w góry, przerywa chętka łaknąca nowin jelenich ostoi. Przez dwa mroźne dni jelenie już dobrze ryczały, lecz tu słońce gorące promienie na nas zsyła, a księżyc w pełni, ułatwiający zdradliwie nocne zaloty, nie najlepsze mi wróżby śle. Pierwszego ranka wprawdzie przywitały mnie cztery jelenie cichym mruknięciem „dzień dobry", ale żaden osobiście okazać się nie raczył. Mimo to, co za urok, po prawie roku, srędzonym na bruku, móc odetchnąć świeżem powietrzem natury, bez pyłu i gwaru, móc znów zobaczyć promyk wschodzącego słońca, blask jego odbity na szczytach gór, brylantami porannej rosy igrający. Siedzę i marzę, nadsłuchując szmerów leśnych aż do wieczora.

Drugiego dnia to samo, upał, wiatr się zrywa, jelenie jak wymiótł z rewiru, tylko czasem któryś, śniąc o swej lubej, pomrukuje z rozkoszy. Czekajmy lepszej aury rykowiskowej, dziś to dopiero 24 ty, niedziela. Nie polujemy. Jelenie nie ryczą. W południe zaczyna padać deszcz, później zasuwa świat Boży mgłą, że i palca własnego nie widzisz, tak, że dopiero wieczorem, gdy się rozwidniło, idziemy na wysłuchy. Jelenie słabo porykują Noc gwiaździsta znów wzbudza w sercu nadzieję. Poniedziałek — zimny poranek i wschód słońca tak cudny, że żaden malarz nie opisze, żaden poeta nie wymaluje, różowe baranki pasą się, snują po niebie, a szczyty gór grają wszystkimi kolorami tęczy.

Słyszę około sześć jeleni porykujących, lecz bez przekonania, tylko jakiś nader zalotny młodzik popisuje się, łaknąc chwil rozkoszy, gotów do zaciętej walki. Wiatr wciąż zmienny i trudny teren wśród złomów, nie pozwala na podejście. Popołudniu deszcz i mgła, wieczorem jelenie się odzywają. Niestety, zapóźno na podchód.

Mój gospodarz nie słysząc poryków jeleni, poszukuje niedźwiedzia i w trudnych warunkach, w gęstej świerczynie, po długim wyczekiwaniu, widząc tylko wciąż cztery łapy niedźwiedzia żerującego, straciwszy nerwy, strzela na „pass blind", jak Fr. lisowicki powiada, do grubego niedźwiedzia, niestety bez innego rezultatu, jak że niedźwiedź porzuciwszy uciechę słodkich jagód, znikł, jak kamfora.

Wtorek, mroźny ranek, przypruszka śnieżna, wietrzno, trochę mglisto, cóż za wymarzona aura na rykowisko. Tymczasem grobowa cisza i to prawdopodobnie dlatego, iż ma nadejść śnieżna zadymka, która nas białym okryje puchem. Siedząc pod świerkiem i marznąc, jak starej panny japońska lewretka, słyszę trzy porykujące jelenie, a wierząc w ten niebywały instynkt zwierząt, spodziewam się wypogodzenia. To też wśród mgły i śnieżycy, posuwam się ku rykowi, roszczącemu najlepsze myśliwskie nadzieje. Już niedaleko słyszę pomruk basowy, już ucho moje łapie odgłos złamanej gałązki, szmer otartej gałęzi, gdy wtem wiatr się zmienia i *la comedia est finita*, Mgła się przerzedza, śnieg padać przestaie, słonko swe ciepłe promyki na nasz padół łez posyła, lecz tylko westchnienie myśliwskie wywołuje, gdyż jeleń przeczuwszy nieprzyjaciela, zamilkł i znikł bez śladu. Próbuję podejść jeszcze dwa jelenie, lecz wciąż zmienny wiatr nie pozwala mi wśród złomów i kamieni na podejście tychże. Nie wiem, kto był inżynierem tak zwanych reitsztoków w rewirze pod Grofą, fakt jest, że ta bestja musiała anticipando wziąć łapówkę od jeleni. Nie mówię o tem, że ścieżek bardzo mało w tym dzikim terenie, lecz te, co są, są w znacznej części wysypane grubym, twardym, ruchomym łupem kamiennym, o niesłychanie donośnym i dźwięcznym tonie. Tam, gdzie kamieni nie ma, są pochyłe, śliskie ścieżyny, na których przemarznięta trawka i suche gałązki, wręcz odmienny dźwięk wydają. Rezultat tych bitych dróg jest, że podchodzonemu jeleniowi, lub też jego uroczym łankom zdawać się musi, iż stado hożych słoni, ze swą, z epoki kamiennej, orkiestrą, w pląsach podąża na biesiady, albo że dorodna niedźwiedzica, z jeszcze dorodniejszymi, a wyrośniętymi piastunami, zbliża się .. aby łagodną pieszczotą złamawszy krąg pacierzowy, mięso i kości ich roznieść na cztery wiaty, ku pożarciu. Skutki tych reitsztoków są, iż nie można przed cienkim świtem dostać się do dalszych rewirów, nie chcąc pogubić butów, złamać kosteczki, lub conajmniej wywołać bolszewickiej rewolucji w lesie; wracać zaś trzeba zawczasu, aby jeszcze szarą nocką zdążyć do koliby. A buty! (biedne moje, przedwojenne higsony). Gumy zedrzesz, na podkówkach dzwonisz, bez gwoździ holendrujesz, a na filcach, bierz dwie pary ze sobą, a może nie wrócisz boso.

Środa, w rewirze Zielona znikły jelenie bez śladu. Na Manczole ryczą trzy byki w dżunglach. Staram się o najgrubszego, którego obciory na grubych drzewach zwyż dwa i pół metra widoczne, — płonna nadzieja. Dziewiczy zrąb broni dostępu. O, te cudne zręby, cudne, gdy je widzisz z dala, z przeciwległej zboczy. Zda się, że samochodem po nich jeździć można, że wszędzie czwórką nawrócisz. Właź ty zaś, biedny myśliwy, na ten prawiczy, wymarzony, myśliwski zrąb, a znajdziesz się, jak u murzyna w... tam gdzieś w Afryce. Trochę starych świerków, które zdala od siebie stoją rozkraczone, jak kłócące się przekupki; trochę świerków, które, jak stado spłoszonych owiec tulą się do siebie, parę pniaków, liczne złomy i zatrzęsienie suchych gałęzi. Przy tem sporo maliniaków, odrobinka jagód i krzaczków i zdechł pies i kanarek. Ani gdzie nogi postawić i to jednej z trzech, bo bez kija ani rusz i to kija długiego, którym raz dołem, raz górę zaczepiasz, bez trzasku, chrupu i dźwięku kamieni. Tu ci wiekowy świerk zdejmuje kapelusz z głowy, zmuszając do ukłonu, tam młoda sosna za kubrak chwyta, szukając zaczepki, tu prastara limba obumarłe wyciąga ramiona, chwytając na nogę, by się pożalić, że ją zmarnowano, tu gałązka sucha, cierpiąc, skarży się, żeś ją połamał — tam trawka, że ją boli, a ty patrz pod nogi, na gałęzie, na leśnych, nie daj Boże, na łanie, wysłuchuj jelenia i potem dopatrz go, weź na krzyż lub muszkę i zabij na miejscu, bo gdy pójdzie, adju fruziu, szukaj wiatru w polu, przepadnie. Ale, gdy wrócisz z gór, to słyszysz: „co, tylko jednego? — co, tylko dwa byki strzelałeś?“ — jedź ty sam na złamanie karku w góry; ty miejski krytyku, myśliwy, a vederemo, jak ty na drugi dzień śpiewać będziesz. Dobrze mówił stary Dietzel, że, aby polować na podchodzie, trzeba wpierw nauczyć się chodzić, a potem patrzeć. To też tu, mniejszą rolę gra spryt myśliwski i znajomość rewiru, jak to ślepe szczęście, by ryczącego jelenia, przydybać w takich zastępach, gdzie go podejść można, a podejść w tych warunkach znaczy tysiąc kroków na godzinę pochodem tak pośpiesznym, który często staje i długo stoi. Byłem 10 dni w górach i widziałem siedm łań i jednego byka.

Dogódź tu myśliwemu! W mieście, gdy się rozglądasz za panienkami, to ich nie ma, albo, gdy się wyjątek zdarzy, to się z psem twoim pieszczą, miast z tobą. Wprawdzie, która głaszcze psa, to kocha pana, ale dlaczego z tak daleka — proszę bliżej. Tu zaś w górach, gdy właśnie mnie ciągnie do chłopców i to do dorodnych, rogatych chłopaków, to się panienki, lub, co gorzej, stare klempy pchają pod lufę.

Wśród tych trudów zaś, tych zawodów i udręczeń myśliwskich ileż uroku dla prawdziwego myśliwego. To nie polowanie na mięso. to ciężki, a nieraz tak niewdzięcznie zapracowany suchy kawał razowego chleba, a jak smakuje, gdy się uda! Możnaby i tu wielkim nakładem urządzić łatwiejsze warunki polowania i z czasem opłatne. Postawić więcej kolib na noclegi, w pobliżu ryczących jeleni, aby rano bliżej być ich ostępów, wysypać ścieżki mchem lub igliwem, trzymać więcej straży, która znając swoje jelenie, oszczędziłaby podchodów pod słabsze byki, ale przy tak krótkoterminowych dzierżawach, nie łatwo się zdecydować na tak znaczne koszty, gdy się nie jest pewnym, czy się z nich jeszcze korzystać będzie. Popołudniu na Grofie, na wysłuchach, dwa jelenie się odzywają. Cudny widok zachodu słońca, oświecającego nasze Gorgany.

Środa. W rewirze Zielona wymiotło jelenie. Może wilki się pojawiły. Na Menczole ryczą słabo trzy byki w dżunglach. Staram się dotrzeć do najgrubszego z nich, którego ociory na grubych drzewach na dwa i pół metra przeszło — widoczne, niestety, bez rezultatu. Codzień widuję ślady niedźwiedzi. Ślady głuszców,

Czwartek. Byki porykują źle, w niedostępnych dołach. Zdaje się, że lepsza tam oaza, nocą wychodzą na szczyty, a ze słońcem schodzą w dół. Ptaszyny ciągną na południe. Na chwilę wypoczywają pod gościnnym cieniem zielonej sukienki, by znów lecieć w dal. (Oj, znowu ta zielona sukienka, gdy moja staruszka dostanie do rąk te słowa, to będzie bieda). Ile tych ptasząt zginie po drodze. Przypominają mi marsze wśród wojny światowej, od Bałtyku po Adrję, lub powrót biednych rozprószonych żołnierzy pod rodzinne strzechy. Codzień ciągną gęsi, żórawie, sokoły w przelocie. Dziś pięć dzikich gęsi, krążąc, zapadło niedaleko mego południowego legowiska na szczycie Konia. A nuż pieczeń na niedzielę? Podchodzę na kilkanaście kroków jednę z nich, nie śniąc o tem, że tak zmęczona, iż można było ją złapać. Strzał przez lunetę był równie górnolotny, jak marzenie o świeżem pieczystem.

Piątek. Sześć jeleni porykuje bardzo rano, potem znów mi znikają w niedostępnych głębiach świerkowych. Miałem na strzał rogacza o bardzo wysokich rożkach szóstaka, z odnogami nie dłuższemi jak jeden cm. Porykujący byk uratował życie mylkusowi. Świerki nasadziły szyszki tylko przy wierzchołkach. Będzie ostra zima, a że łojne łanie późno się grzeją, można się spodziewać i późnej wiosny. Nie najmilsze horoskopy, ani dla myśliwego, ani dla gospodarza.

Mój gospodarz już w zeszłym roku chwalił sobie dzień 28. września, tak dlań zawsze szczęśliwy na rykowisko i w tym roku, pełen nadziei, tego dnia wyruszył, — nie wierz tu w przesądy! Ubił pięknego dwunastaka, o ciemnym, foremnym porożu i aczkolwiek nie nader wysokim, ale pięknej grubości i formy.

Sobota. Ostatni dzień dla nas, a jak nie było, tak nie ma prawdziwego rykowiska. Mgła, ciemno — oko wykol, wychodzimy z koliby, każdy w swoją stronę. Dziś, albo wcale nie. Jelenie porykują tylko raz, ale rano, lub czasem który pozwoli sobie na zbytek o czwartej popołudniu. To nie rykowisko. Raporty z innych rewirów rownież nieświetne. Niejeden myśliwy powrócił bez złomka, a zabitych, kapitalnych byków, ma być dwa. Jeden wilk ubity i niedźwiedź chybiony. To mało. Finis coronat opus. Finis niestety jest i opus był ciężki, ale miły, no i korona jest, nie taka, o jakiej marzyłem w tym roku, ale wracam z dwunastakiem.

Już słonko przez mgły jedno otworzyło oczko z uśmiechem, już gra i gmyrze w kędzierzawych szczytach drzew, które figlarnie swawolą z wiatrem, gdy słyszę pomruki jelenia, posuwającego się ku mnie. Siedzę na takim sławnym zrębie, pod pniakiem i wysłuchuję. Wtem widzę końce poroża nad krzakami. Jeleń, dwunastak, o niebardzo wysokich rogach, wysuwa się i staje na sztych. Nie biorąc sztućca do ręki, przypatruję mu się, czy wart kuli, lecz to ostatni dzień. Czy gardzić dwunastakiem, a wrócić bez złomka jedliny? Leśny podaje sztuciec i widząc brak ochoty do strzału, zaczyna namawiać, że w tym roku lepszego już nie zdobędziemy, że będzie zapóżno. I pokusa wzięła górę. Gdy jeleń zaczął posuwać się na poleć, posłałem mu kulę w kark. Zrulował w ogniu, by więcej nie wstać, tylko kroków parę posunął się po zboczy. Nieszczęściem jego było, że młody, a nierozważny, nasadził koronę i tak długo przypatrywał się, co ja na jego zrębie robię. Szybka śmierć przerwała mu zadumę.

Niedziela. Nie tyle zbrojno, ile, aby pożegnać góry, wychodzę raniutko z koleby, aby powitać pierwszy promyk wschodzącego słońca, aby popieścić wzrok zielonoróżowymi refleksami gór, aby wetchnąć ostatni raz woń rosy zwilżonego, szpilkowego lasu, aby pogłaskać ostatni raz brodate. siwe mchy stare i raz jeszcze oglądać ten cudny świat Boży, nim znów róg myśliwski zawezwie pod krzaczek do kniei. Jelenie dziś świątkują, nie tak, jak u ludzi, „chodź Marysiu, dziś niedziela. pokażę ci Rafaela“

Wracam do koliby o dziewiątej. aby spakować moich siedm śliwek, załadować na hucułka i wracać niestety. Żegnaj kniejo polska!! Niech mi wolno będzie, kochany gospodarzu, na tym miejscu złożyć ci gorącą podziękę za te najmisze chwile pracowitego lenistwa, rozkosznej zadumy, emocji, zawodów i radości myśliwskich i za staropolską gościnność, gdyś pytał: Gdzie dziś pójdziesz, bo ja pójdę w inną stronę, by ci nie zawadzać, — ale drogi przyjacielu, tyś mnie prosił „*Na Rykowisko*“, a czemuś nie dotrzymał słowa?

Pisane w lesie, w południe, wrzesień, 1921.

ST. W. ORSKI.

Po złomek jedliny.

Myśliwy, który raz w życju zakosztował królewskich łowów jesiennych, wśród wirchów karpackich, gdy przecudowna jesień na te gody wszystko przystraja w królewską szatę, purpurę i złoto,... gdy wielki las bukowy na stokach górskich przemienia w gontynę o słupach, kolumnach, arkadach cienistych, w które ukradkięm wciska się słońce, znacząc oczka i plamki złociste, a hen, wysoko nad tobą, tworzy dach różu, błękitu i złota,... gdy pod stopy twoje ściele górskie, woniejące łąki, połoniny i zręby, na których fale bujają mietlic i traw, przetykanych błękitem gencjan, srebrem kardów,... gdy z gonnych jodeł i świerków tworzy tajemniczy labirynt gotyckich wież, z których każda ma szczyt inny, odmienny wygląd, — jedna ponury, a druga promienny,... gdy z brzaskiem dnia rzuci między wirchy i szczyty na górskie stoki białe fale mgieł, kryjąc zazdrośnie przed twym okiem tajemnice grani, przełęczy i niże górskich potoków, że stoisz, jak na wyspie, wśród morza, atylko w dali widzisz tu i ówdzie siniejący szczyt... gdy o zachodzie słońca jakby pieszczotą otuli wirchy w różowawe mgławice i wpatrzony w tą poświetl, uchem łowisz rytm szemrzących u stóp twoich potoków, może powiedzieć: żyłem, jak ów król z baśni wśród cudu barw i świateł, a tą wonią balsamiczną górskich łąk, żywiczną lasów upity, opuszczam te wirchy, tęskniąc, jak ten nałogowy pijak, znów za ową chwilą, gdy w roku przyszłym po górskich stokach wśród wirchów i jarów, zabrzmi ten weselny odzew królewskiego zwierza,... oby głośniej i nie tak skromnie, jak w roku bieżącym!



Wielu myśliwych powróci może bez złomka, jednak nikomu z nich nie żal zapewne tych chwil górnie i pięknie przeżytych, gdy wyrwany z rzeczywistego, coraz bardziej przyziemnego życia, z towarzystwa trosk i kłopotów, obawy o przyszłość, z pośród wrzasku i zgiełku ludzi, tratujących się wzajemnie, a goniących za pięniądzem, znajdzie się jakby przeniesiony w cichy, lepszy, wolny od zgiełku i ścisku, czysty i piękny świat,... taki, jakim go tylko przyroda górska namalować potrafi.

Przechodząc od opisu tła i środowiska, do których oko myśliwego tak przyzwyczajone, że nie zawsze może je docenia, ogół wrażeń i spostrzeżeń z tegorocznego rykowiska w karpackich rewirach, państwowych i prywatnych, jest tak ujemny, że budzi poważną obawę o przyszłość, byt i istnienie naszej fauny górskiej. W rewirach, w których przed kilku laty huczne odbywały się gody, gdzie oznajmiało się z kilkadziesiąt, a conajmniej kilkanaście dobrych jeleni, w bieżącym roku jak wymiótł, cicho, rykowiska nie było, w innych znów, w których dawniej dzień cały huczało i grzmiało od ryku, ozwał się zaledwie jeden, może dwa, ale tak niepewnie, tak z rzadka, przeważnie wśród nocy, że potrzeba było wielu trudów i wysiłków, oraz starań, by dociec odcinka, w którym się odezwał, jego chodów, kąpieli (Suhle) i miejsca, w którym za dnia się chowa.

Ujemne spostrzeżenia świadczą nietylko o zmniejszeniu się liczebnym stanu jeleni, ale fakt oznajmiania się prawie wyłącznie w nocy, ukradkiem, z rzadka, świadczy wymownie o tym, że ten królewski okaz naszej fauny górskiej, czując się nie bardzo pewnym i swobodnym wśród wirchów karpackich, gdzie dawniej cieszył się pełnią swobody, bezpieczeństwa i ochrony, gdyż skromny odstrzał, w czasie rykowiska, nie wielki uszczerbek mu czynił, — przystosowuje się do tych niebezpieczeństw, które obecnie mu grożą, do tych ciężkich warunków, wśród których obecnie się obraca i dlatego staje się coraz bardziej ostrożnym, tak dalece, że nawet te naturalne objawy: oznajmiania się wśród godów, przebywania na otwartych zrębach, łąkach, polankach do późnego rana, ograniczył lub wykreślił z programu swych godów, ucichł i cofnął się do zwartych, starszych młodników i gąszczy, z których miłosne nawet zapędy nie łatwo wywabić go zdołały.

Na obecny stan i zachowanie się jeleni wpłynęły różne przyczyny. W pierwszym rzędzie: wojna, z jej okopami, ziemiankami, zasiekami z drutu kolczastego w roku 1914—15-tym na górskich szczytach i grzbietach, któredo dzisiejszego dnia tamże pozostały.

W drugim rzędzie: pokłosie wojenne, obejmujące dwie najgorsze plagi, naszą faunę dziesiątkujące, a to wilki czworonożne i wilki dwunożne.

Wilki nie tępione wśród wojny i w trudnych warunkach powojennych, rozmnożyły się w tak zastraszający sposób, że stadami przeciągają od wirchu do wirchu, czyniąc szalone spustoszenia w cerwidach.

Jako przykład, podaję kilka cyfr mi znanych: w rewirze Tuchlańskim znaleziono w lutym b. r. 30 łań zajedzonych, w Różance, na obszarze 5.000 ha 18 łań, w Hucie korostowskiej, w dwóch dniach, na grzbiecie Połoniny i Gawrowacza, sam naliczyłem szczątki z ośmiu łań. To jest zaledwie cząstka szkód w rewirach skolskich, w których nie tylko sam właściciel, w górskiej przyrodzie zamiłowany, dokładał, bez względów na koszta, wszelkich starań, by klęskę złagodzić, ale gdzie cały zarząd, począwszy od dyrekcji, aż do podleśnych i gajowych, czynił wszelkie zabiegi i wysiłki, by wilki wytępić.

Do smutnych rezultatów ta klęska może jednak doprowadzić w tych rewirach, zwłaszcza państwowych, gdzie personal nie miał tych środków do dyspozycji (np. żelaz, które w ilości 60 sztuk sprowadzono do Skolszczyzny), lub z innych powodów nie mógł ich użyć, n. p. z powodu znacznego oddalenia osiedli straży leśnej, od rewiru jej oddanego (dwanaście godzin drogi, lub i więcej), gdyż prawie wszystkie mieszkania strażnicze wsród rewirów, uległy w czasie wojny zniczczeniu.

Bez obmyślenia środków zaradczych i pozostawienia nadal rewirów, zwłaszcza państwowych, na pastwę klęski wilczej, bez opieki i ochrony, jeleń tamże skazany na zagładę.

Drugą plagą pokłosia wojennego jest kłusownictwo. Było ono zawsze, jednak nigdy w tym stopniu, jak wśród wojny i obecnie. Na to złożyły się nietylko ogólne obniżenie poziomu etycznego, nienależyte funkcjonowanie odpowiednich organów nadzorczych, ale wprost przerażająca ilość broni. bądź to w czasie inwazji ukraińskiej w magazynach poaustryjackich zrabowana, lub przyniesiona do domu, w listopadzie 1918, w czasie upadku Austrji.

Za przykład niech posłuży, że z. r. w czerwcu i wrześniu, wojskowo-policyjna ekspedycja przyniosła z kikunastu (14) wsi powiatu skolskiego i doliniańskiego, 508 karabinów, przeważnie uciętych, 36 sztuk broni kulowo-śrutowych i dubeltówek. Rewizję robiono tylko szlakiem pochodu Bekieszowców. Ile broni wojskowej dotąd we wszystkich powiatach górskich pozostało, na to mogłyby dać odpowiedź owe komitety ukraińskie, pragnące wywołać w górach zbrojny ruch pośród elementów młodych i burzliwych, na to dają odpowiedź codziennie strzały, o zmierzchu i z rana, padające z ręki kłusowników, po wirchach i potokach górskich.

Obok wsiowego kłusownictwa zrodziła wojna ponadto kłusownictwo załóg wojskowych i baonów celnych. Jeśli kłusownictwo wojskowych do pewnego stopnia zostało opanowane, jest to wyłącznie zasługą znanego z energji szefa sztabu, pułkownika Marjańskiego, który chroniąc górską przyrodę, energicznie i odpowiednio mu przeciwdziałał.

Nie wątpię, że i następca jego będzie kontynuował tę energiczną akcję i zwalczał kłusownictwo wojskowych straży celnych.

Czynnikiem, potęgującym kłusownictwo, jest spostrzegane dość często, zwłaszcza w górach, pobłażanie władz i organów, powołanych do ochrony własności prywatnej i bezpieczeństwa publicznego. Zdarzało się, że kłusowników używano do dostawy mięsa, rogów i skór. Wiadomo mi z dobrego źródła, że u jednego z funkcjonarjuszy, trzech jednakowo brzmiących spółgłosek, jest tak piękny zbiór rogów, jakimby stę nie mógł pochwalić żaden z myśliwych, od szeregu lat polujących na jelenie.

Wszyscy jednak wierzymy w znanego w szerokich kołach myśliwych, z energji, zamiłowania do przyrody i znakomitego organizatora, dowódcę, że wypleni zło i doprowadzi do tego, że organizacja tej władzy pod każdym względem wszelkim wymaganiom odpowie i teraźniejsze nierówności znikną.

Jeśli do dwóch plag pokłosia wojennego dodam, że w niektórych rewirach, prawdopodobnie ze względów oportunistycznych puszczano nawet na najwyższe szczyty, bez względu na gospodarstwo lasowe, w nowe i starsze zręby — bydło — tak, że jeleń przez wiosnę i lato do późnej jesieni był niepokojony, nie można się dziwić, że wszystkie owe przyczyny złożyły się na bardzo smutne spostrzeżenia i refleksje myśliwych, którym nie o zdobycz już chodzi, ale o byt i istnienie jednego z najpiękniejszych okazów naszej fauny górskiej, przejętych obawą, że wkrótce nasz górski jeleń będzie należał do przeszłości.

Uwagi moje oparte na licznych spostrzeżeniach myśliwych, odnoszące się do niektórych górskich rewirów, uzupełnione innymi sprawozdaniami, niech będą apelem do wszystkich miłośników przyrody, nietylko wśród rzeszy myśliwskiej, ale wśród całego społeczeństwa i wszystkich jego warstw — o zbiorową akcję zwalczania tych plag i ratowania od zupełnej zagłady naszej fauny górskiej.

(Dok. nast.)



ALBERT MNISZEK.

Ze Skolego.

Wiadomości z tegorocznego rykowiska w Karpatach brzmią niewesoło. Mało kto powrócił z gór z dobrym wieńcem jelenim, a wielu powróciło bez strzału. Powodem tych niepowodzeń myśliwskich są wilki. Grasują one w całych wschodnich naszych Beskidach i niszczą wspaniały nasz zwierzostan w sposób zastraszający.

W górach skolskich plaga ta też zastraszające przybiera rozmiary i choć zwierz ten krwiożerczy tępi się tam wszystkimi możliwymi sposobami, nic go nie ubywa, przeciwnie, dzień w dzień znaczy on swe przemarsze to w tym, to w owym rewirze krwawymi ślady. Pomimo jednak tej ciężkiej daniny, jaką rewiry skolskie od kilku lat składać muszą czworonożnemu demonowi, odniosłem z tegorocznego rykowiska wrażenie dodatnie. W rewirze Butywla, w którym od trzech lat poluję, zauważyłem znaczne polepszenie w stanie jeleni. W pięciu podchodach podszedłem 11 byków ryczących, conajmniej drugich tyle słyszałem. Prawda, że między spotkanymi było ledwie dwa, które uznać można było za łowne (dwa czternastaki), ale to nie dowodzi, by grubych byków tam nie było. Znajdywały się one tam niewątpliwie, lecz z powodu wilków, tak silnie w rodzie jelenim rozwinięty instynkt samozachowawczy, nakazywał im milczeć, lub wyjątkowo tylko się odzywać w zwartych gąszczach pierwoboru, lub kultur świerkowych. Łań widywałem stosunkowo mniej, co sobie tłumaczę tym, że znajdywały się one w towarzystwie jeleni grubych, w miejscach trudno dostępnych dla myśliwego i dla wilka, a młodzież męzka, żądna miłosnych rozkoszy, wrzała gorącymi akordami pieśni i szału tęsknoty. Pierwszego wieczoru, spędzonego w górach dnia 22. września miałem śliczny przed sobą obrazek myśliwski, który mi żywo utkwił w pamięci. Siedziałem nad małą polanką, nad którą w starodrzewiu ryczały dwa byki. Za chwilę wyszedł jeden z nich, ósmak, na polankę, przechadzał się po niej z kwadrans, rycząc i bijąc słabym swym wieńcem po trawach i krzakach. Wyszedł wreszcie i drugi, dziesiątak, rzucił się na pierwszego, jak wściekły, uderzyły rogi o rogi, nierówna walka trwała jednak kilka sekund, ósmak pierzchnął, a zwycięzca długo jeszcze przechadzał się po polance. Oba byki zbliżały się do mnie kilkakrotnie na dziesięć kroków, nie domyślając się nawet obecności trzech ludzi.

Mieszkałem i w tym roku, a więc trzeci raz z rzędu, u podleśniczego Kreuzera, który w zeszłym roku w listopadzie miał ową sławną i tak nieszczęśliwą przygodę z niedźwiedziem. Opowiedział mi ją dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Sądzę, że zainteresuję nią naszych myśliwych, więc ją opiszę.

W krytycznym dniu wyszedł rankiem Kreuzer z młodym gajowym Babijem w rewir na kontrolę żelaz, nastawionych na wilki. Towarzyszył im farbowiec. Gdy skonstatowali brak pierwszego, o pięćset metrów od leśniczówki zastawionego żelaza, puścili psa, który wkrótce, w małym jarku, w gąszczu, zajadle naszczekiwać zaczął. Udali się spiesznie za głosem, będąc jednak już w pobliżu miejsca, w którym pies naszczekiwał, rozdzielili się. Babij obchodził gąszcz dookoła, aby w razie, gdyby, jak sądzili, wilk, uwolniwszy się przypadkiem z żelaza, pomknął dalej, drogę mu zastąpić. Kreuzer zaś wszedł w gąszcz i spotkał się oko w oko z niedźwiedziem, schwytanym za przednią łapę w żelazo, od którego jednak kłoda już się była oderwała, tak, że z skrępowanej żelazem łapy zwisał łańcuch. Bestja rzuciła się na niego tak niespodzianie, że miał tylko czas raz strzelić z pod pachy i chybić. W jednej chwili zwierz obalił go i zaczął go kąsać, na szczęście pazurów użyć nie mógł, mając jedną łapę bezwładną i pokąsane z bolu palce. Najpierw przegryzł mu łydkę, następnie wbił się kłem w twarz i przegryzł rękę w chwili, kiedy chciał wyciągnąć z futerału nóż. Pies tymczasem atakował zajadle zwierza, który często zwracał się do niego, pozostawiając

człowieka na chwilę w spokoju, by znów z furją do niego powrócić. Na krzyk Kreuzera i ryk niedźwiedzia, przybiegł Babij i z odległości kilku kroków czterema strzałami ubił wreszcie bestję, ale jedna z kul przebiła dłoń nieszczęśliwego Kreuzera i strasznie w kościach ekspandowała. To była najcięższa rana którą otrzymał podleśniczy w tej bitwie. Szczęście, że nie było daleko do domu i biedny człowiek, podpierany przez gajowego, dowlókł się tam wkrótce. Na drugi dzień był już w szpitalu we Lwowie, gdzie przeleżał dwa miesiące. Dziś włada już jako tako ręką, chodzi dobrze i może dalej pełnić służbę ten dzielny człowiek.

Skole zrobiło na mnie, jak już wspomniałem wyżej, w tym roku wrażenie dodatnie. Jest pewność, że przy usilnych staraniach, znakomitego, jaki tam jest, personalu łowieckiego, wróci ta wspaniała knieja do lat kilku do dawnej świetności i będzie znów najczystrzej wody perłą w skarbnicy naszych karpackich rewirów.



W ogniu!

Nagle pieśń przerwał swoją, jakby struna pękła
U harfy trubadura... Już milknie na wieki,
Śmierć go tuli do łona, sen morzy powieki,
Krew rubinowa bluzga!... Padł, aż ziemia jękła!

Zerwał się znów na nogi, strząsnął dumnie wieńcem
I pieśń chciał znów rozpocząć.. Buchnął krwi strumieniem!
Poczuł, że serce pękło!... W zorze, co rumieńcem
Szczyty złocą, wpatrzone oko łzy płomieniem

Błysło z żalu za pieśnią i słońcem!... On kona!
Pierwej go śmierć przytuli do zimnego łona,
Nim szczyty gór zapłoną blaskiem opalowym!

On leży! Łza ostatnia w rannem słońcu świeci,
Z sędziwych buków płacząc, liść po liściu leci
I na marach się kładzie płaszczem purpurowym!

(Z cyklu sonetów karpackich) **Albert Mniszek.**

Korespondencje.

Parczew, w sierpniu 1921 r.

Nieco z Włodawszyzny (b. Kongresówka).

Powiat Włodawski, najdalej na wschód wysunięty, dotyka wschodnią granicą rzeki Bugu. Krajobraz tu typowo podlaski. Bezkresna równina, a raczej pradolina, a na niej piaski, bagna i lasy... Jako powiat kresowy, oddalony od centr kultury, bez dogodnych połączeń kolejowych i szos, wykazuje pod każdym względem duże braki. Dawny rząd rosyjski i okupacja niemiecka nie starały się w żadnym kierunku o jego podniesienie. A i obecny rząd, już polski, nie tak bardzo, jakby należało, zaznacza swą troskę o jego dobro.

Jeśli sprawy najżywotniejsze cierpiały z powodu obojętności władz centralnych, to cóż powiedzieć o tym kopciuszku kłopotów państwowych, jakim jest wogóle łowiectwo i jego kultura. Pod tym względem panują tu stosunki wprost dzikie. Z wyjątkiem trzech mniejszych obszarów dworskich, na terenie, których nie każdemu jeszcze i nie o każdej porze na wszystko polować wolno i z wyjątkiem majoratu Zamoyskich w Różance pod Włodawą, w którym zresztą o podniesienie zniszczonego zwierzostanu nikt nie dba, nie uregulowano dotychczas nigdzie ani w gminach, ani po wioskach sprawy wydzierżawienia prawa polowania... Powiat liczy około 330 wsi i cztery miasteczka, a na ich obszarze wszędzie i każdemu polować wolno. Polują więc chłopi, urzędnicy komunalni i państwowi, goście i każdy, kto chce.

To też nie dziwne, że jedzie się milami i nie widzi jednego zająca... Kuropatwy nigdzie na lekarstwo. Tu i ówdzie tylko dzik i lis się pokażą.

W zimie, r. 1918/19, w czasie „wolności" po wyjściu okupantów, rozbrzmiewały wszystkie lasy, prywatne i państwowe, wystrzałami karabinów; kule świstały na drogach publicznych i groziły śmiercią podróżnym. To lud poczciwy polował... Wszystko, co żyło w lesie, co się ruszało, począwszy od jeleni i dzików w kniei różanieckiej, a skończywszy na zamotyliczonym szaraku — ginęło marnie... Dzikie kaczki, których tu bywało ongiś bardzo wiele, uległy również zagładzie wskutek niszczenia jaj, wybijania młodych kijami przy pomocy zaprawionych do takiego polowania wiejskich kundysów iwskutek strzelania starek w czasie ochronnym. Kuropatwy wybito na śniegu lub wyłowiono sidłami jeszcze w latach wojny.

Tak zrozumieli i rozumieją swój interes i ekonomję państwa ci najmłodsi z pośród obywateli, których reprezentanci dzisiaj rządzą. Mała opieka powołanych czynników, małe zrozumienie istoty własnego dobra, a zwierzyna łowna, to bogactwo naturalne kraju, rozmażyłaby się przy tak sprzyjających geograficznych warunkach w powiecie — niesłychanie. Ludzie, dbali o jej rozrost, starali się o ograniczenie wydawania kart myśliwskich, o powołanie do życia zrzeszeń łowieckich, mających na celu prawidłowe łowiectwo, ochronę i rozmnożę zwierzyny łownej, natrafili wszędzie w swoich zamierzeniach na niepojętą obojętność nietylko u sfer istotnie zainteresowanych, ale nawet u czynników do takiej współpracy powołanych.

Aczkolwiek zmniejszono już wydawanie kart myśliwskich o jakie 60%, jednak kłusownictwo kwitnie, nie krępowanie niczem, nadal. W każdej wsi zostały liczne karabiny, w każdej znajdzie się i kilka strzelb, z któremi łupieżą kłusownicy.

Za okupantów nie włóczyły się przynajmniej po polach bezdomne psy i koty, bo je praktyczni Niemcy strzelali; dzisiaj roją się znowu pola od tej plagi ku niemałej szkodzie i krzywdzie zwierzyny.

O tem, aby kuropatwy ucierpiały od moru, nie słyszałem, a że ich nie ma, winien temu jastrząb gołębiarz, ten ich piastun gorliwy... Rozmnożyło go się też bez miary... Strzelcom naszym jednak i na myśl nie przyjdzie nawet, aby niszczyć tego drapieżnika. Albo nie rozumieją się na nim, albo szkoda naboju... A amunicja dzisiaj taka droga...!

W ostatnich czasach dają się zauważyć pewne zmniany, rokujące już lepszą przyszłość naszej zwierzynie łownej. Czynniki kompetentne wzięły się energicznie do kłusowników.

W lasach rządowych nie śmie paść strzał; każde przekroczenie prawa polowania, a choćby i omyłkowe przejście ze strzelbą granicy, karane bywa sądownie. Niektóre gminy noszą się z zamiarem wydzierżawienia swoich terenów. Są wprawdzie nadzieje, że powstaną dwa towarzystwa myśliwskie we Włodawie i w Parczewie, które rozbudzą kult szlachetnie pojętego łowiectwa w najdalszych kątach powiatu. Szkoła również swoje zrobi...!

Za lat kilka stworzymy może takie warunki, że hodowla i rozmnażanie zwierzyny łownej na terenie powiatu nie dozna z żadnej strony ani przeszkody ani krzywdy. *Wł. Gürtler.*

* * *

Tadanie, pow. Kamionka str. wrzesień, 1921.

„Niech każdy z delegatów zrobi jedną drobnostkę na rok, czy to interwencję w starostwie, czy korespondencję do wydziału, niech jedną godzinę rocznie poświęci towarzystwu" — czytaliśmy w „Łowcu, z miesiąca września b. r., więc posłuszny wezwaniu... piszę, aczkolwiek z niw naszych i lasów, w istocie nie wiem, co miałbym opisać.

Gdzie niegdyś dziesiątki stadek kuropatw świergotały wieczorami, zwyż tysiąca sztuk w ciągu sezonu raz ubiłem na własnym terenie, a z jaj bażancich baby jajecznicę smarzyły, dziś pustki; koty, jastrzębie i podobne plugastwo, od lat nie tępione z braku broni u straży łowieckiej, w wyższej jeszcze mierze brak zboża, by karmić kuropatwy, ginące zimą na jałowych odłogach, sprawiły, iż mimo dwie łagodne zimy i dwie wiosny przyjazne, kuropatw nie ma prawie, a bażanty hodowane i w kilku innych rewirach w powiecie, wyginęły z kretesem do sztuki ostatniej, co dowodzi, iż ptak ten nie jest zdolny zaaklimatyzowć się w naszych warunkach i tylko tam istnieć może, gdzie go otacza troskliwa i czujna opieka.

Puste więc niwy te tylko przywodzą dumania, dlaczego wolno żydowi sprzedać morg podmokłego piasku, gdzieś na odludziu, za 250 dolarów, czyli jeden miljon miarek, mnie zaś za morg wybornej, zdrenowanej ziemi, przy gościńcu, tuż pod stolicą powiatu, ze stu tysięcy połowę skreśldno.. zapewne w pierwszym wypadku gotowaby zjechać jakowa misja, a w drugim... quod licet Jovi, non licet chrześcijańskiemu obszarnikowi!... Ale to nie należy do „Łowca".

Błądząc po lesie, widuję się czasami z trzema sarnami, resztką pięknego niegdyś stanu, po trzydzieści rogaczy miewałem na rozkładzie, a jeden koziołek, niemowlęciem przyniesiony przez grzecznych pastuszków, gdyż go nie zatłukli, mieszka na leśnictwie, nieraz i dni kilka w lesie przebywając, skąd jednak, znudzony brakiem towarzyszy, odprowadzany często przez ciocię kochającą, kto wie, czy nie przez rodzoną mamę, wiernie powraca, za leśniczym jako piesek chadza i wizyty mi składa, przyjmowany z staropolską gościnnością litrą mleka, wartości czterdzieści mp, gdy za jeden metr kubiczny materjału sosnowego, rekwirowanego na odbudowę, niejednokrotnie i tego suwerena, który i atomu chrustu w swym płocie nie uuracił, dłużni zostają aż trzydzieści dwie marek w papierze, za które dosłownie, w razie wypłaty, nabyć można będzie trzy pudełka zapałek, a uwzględniając, iż na trzy zapałki zasadniczo tylko jedna ma głowę (stosunek lepszy, jak w niejednej radzie ministrów), w istocie jedno pudełko zapałek... w złocie.

I to jednak nie należy do „Łowca", zaczem i nad tem rozwodzić się nie będę, dlaczego małorolnego swym majątkiem budować musi ten tylko obszarnik, który wypadkowo ma kawał lasu, a nie i ten także, który po tamtej stronie Sanu mając większy lub mniejszy kawał ziemi dominikalnej lub rustykalnej bez lasu i możność produkcji od roku piętnastego, topi się w banknotach i ten paskarz, spekulant lub kupiec, który na skórach zwierzęcych i współbliźnich, na mące, Puzapie i damskich kaloszach dorobił się multimiljonów!

Kochamy bliźniego „nad" siebie samego, bo popaleni i wielokrotnie wyrabowani, nie siebie, lecz w pierwszym rzędzie bliźnich odbudowujemy, nam zaś, ku zmartwychwstaniu, urzędują komisje szacunkowe, kosztujące miljardy, gdzie mnogo panów i więcej jeszcze pań, baraszkując, przeważnie śniadanie jada.

Atoli to wszystko nie należy do „Łowca".

Jeszcze o tem tylko wspomnieć mi wypada, że zajęcy jest sporo, dzików w ostatnich paru latach bardzo licznych, w tym roku ani śladu i zanotować nowy gatunek zwierzyny, tropionej na umor... nas obszarników, co bezwarunkowo już należy do „Łowca". *Józef Bartmański.*

Sprawy Towarzystwa.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału z dnia 10/X. 1921.

Obecni: Wiceprezes A. Mnizsek; członkowie Wydziału: Kumor, Garapich, Prek, Streer, Sander, Podoski, Pieńczykowski, Orski, Wacek, Kamienobrodzki.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia Wydziału, donosi p. Kumor, iż Polskie T-wo Łow. w Warszawie, przez p. Domanieckiego, ofiarowała na rzecz „Łowca" 50.000 mp. Dar bratniego T-wa przyjęto z wdzięcznością i polecono sekretarzowi wysłać gorące podziękowanie w imieniu naszego T-wa.

Na wniosek p. Preka uchwalono wszystkie sprawy Towarzystwa odłożyć do następnego posiedzenia, a jako sprawę nagłą, traktować stosunki łowieckie w Karpatach. Sprawę tę, poruszoną przez p. Mniszka (plaga wilcza w Karpatach), wzięto pod obrady. Stosunki te dokładnie wyjaśniły przemówienia p. Preka, Kumora, Mniszka i Orskiego, a więc myśliwych, którzy świeżo wrócili z Karpat z rykowisk. Ogólnie skarżono się na nikły stan jeleni, które niepokojone w naszych Karpatach, wynoszą się do Rumunji i Czecho Słowacji. P. Prek zwracał uwagę na dewastację lasów i kultur karpackich, z powodu masowego wypasania bydła nawet w najbardziej cichych dawniej zakątkach górskich, na klęskę, jaką powoduje kornik, na brak rutynowanej służby leśnej, do tego jeśli się doda plagę wilczą, poruszoną przez p. Mniszka, ma się zaiste dantejski obraz stosunków łowieckich w karpatach; kraj traci miljardy; przestrzeń n. p kilkunastu tysięcy hektarów daje dochodu za paszę 150 tysięcy mp, a pastuchy spalą drzewa za miljon. Cierpi ogromnie nasza flora; bydło wdeptuje i wyjada rośliny, które nie mają czasu rozwijać się i wydać owoc. P. Kumor wyjaśnia, iż obecny stan gospodarki lasowej spowodowała wojna. Zaznacza jednak, iż z Warszawy nadsyłano ostre okólniki, by pozwolić paść chłopom w Karpatach wszędzie, kazano za półdarmo wydawać drzewo, które następnie puszczano na pasek, mieszkania leśnych i dozorców zniszczone, więc ogromne połacie lasów są bez dozorów. Radzi opracować zbiorowy memorjał od wszystkich właścicieli i dzierżawców polowolowań, o tych stosunkach i wysłać go do zarządu Domen i lasów we Lwowie i do odnośnego Ministerstwa w Warszawie. Przeciw pladze wilczej doradza używać tylko żelaz, to jednak sprawa trudna, gdyż takiej fabryki w kraju nie mamy. P. Orski dodaje do klęsk powyżej wymieniynych klęskę kłusownictwa, dla jeleni bardzo niebezpieczną, z powodu ogromnej ilości broni, przechowywanej przez chłopów po górach. P. Sander udowadnia, iż memorjał należy opracować ze stanowiska czysto łowieckiego, gospodarki lasowej, ochrony flory i fauny. P. Wacek radzi sprawę tę poruszyć publicznie, na łamach prasy i w ten sposób wpłynąć na odpowiedzialne, za ten stan, sfery. P. Prek zobowiązał się zredagować odpowiedni memorjał i przedłożyć Wydziałowi.

* * *

Sprawa druku „Łowca". Drukarnia powiększyła cenę za druk „Łowca" na 37.500 mp; jest to druga podwyżka w ciągu miesiąca.

Inseraty „Łowca": pieniądze za inseraty ściągnięte; ósma część strony kosztuje 1.200 mp, czwarta część 2.000 mp; pieniądze należy nadsyłać naprzód, pod adresem M. T. Ł.

Redaktor odpowiedzialny: Rudolf Wacek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.